Należytość pocztowa uiszczona gotówką

NASZ WYRAZ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-ARTYSTYCZNY

Cena 30 gr

Prenumerata roczna w Krakowie zł. 3.50

Rok VI. Nr 7-8.

Prenumerata roczna zamiejscowa zł. 4.—

Lipiec—Sierpień

Konto czekowe P. K. O. Nr. 415.385

Kraków 1939

IGNACY FIK

Ojczyzna

Rozmawiamy przy stolikach o wierszach: te awangardowe, te są miłosne,
a te o złej konstrukcji.
Z map rozpoznajemy miasta po nazwach: Kraków, Wilno, Warszawa
wspominając ulice śladem oczu i serca.
Na rynkach czytamy wyraźnie adres krzywych i niedokończonych nigdy
pochodów, a nędzę potępiamy twarzą zbrodniarza.
Mijamy siebie na ścieżkach pól i na asfaltach ulic, wolni od niepokoju:
kto ty? kto ty?
Żurawiom jednako wszystkim kłaniamy się dłonią, nie sprawdziwszy
paszportów ich gniazda.
Świtem idziemy na wieś słuchać piejących kogutów i wtedy lubimy
ciszę, że chce być na chwilę tą ciszą, której nie trzeba przydomka.
Na ogród, na dom, na futro, na auto z uśmiechem mówimy: to jego, to jej,
czyjeś. — a głośnym triumfom przyznajemy nazwisko człowieka, który
je wybudował.
Kochanej mówimy: moja! a życiorys zaczniemy od słowa: „Rodzinnym
miastem"
Tak —
nie nadużywamy imienia Jej, chociaż jest w każdej z tych rzeczy.
Mówimy jak o powietrzu i zdrowiu:
rzecz pospolita.

Dopiero w tę noc,
kiedy nad horyzontem kominów wyrośnie czarna rózga
i sercom strudzonym tworzeniem dreszcz nienawistny błyskawic zagrozi
skrzykuje nas trąbki żołnierskiej zew.
że podpalają: Wolność —
wtedy wzruszonym szeptem
budzimy Jej drugie imię —
świętsze i większe niż życie
Ojczyzna!



Kirasjer Napoleoński — Tytus Czyżewski

HELENA WIELOWIEYSKA

Z hełmu

Z hełmu w którym wesoła przepiórka zrobiła sobie gniazdo, uśmiechasz się. Już wiem: to ty byłeś moim ostatnim kochankiem.

Rycerzu, przez Wielką Wojnę pasowany na wspomnienie. Ze rdzewnego hełmu jak z gliniastego chleba pierwszego dzieciństwa urodziło się więcej niż myśl: wolne życie. Dlatego pamiętam cię najlepiej

Czy znowu płakać cię będę w świegocie ptaków, po raz drugi dumna i szczęśliwa?

AMELIA ŚREDNIAWA

Rozszerzoną źrenicą

Wojna straszy po nocach.
Ulicami żelazne chrząszcze uciekają zmrużonym ślepiom lamp.
Górą robot - ptak: w łopocie martwych skrzydlisk — w kłębowisku motorów i gwiazd — żywe ludzkie ręce.

I zapomnisz gołębi w słońcu, do których — żołnierz czarny od prochu — mówiłeś jakby ci lata dziecięce zakwitły w oczach srebrnymi baziami.

Każdy wschód czerwony i zachód witamy rozszerzoną źrenicą: już!

Słowa wyryte przez ciebie na kamieniu powoli zaciera śnieg popiołów...
Żeby nie przyszedł ten co cię zabił i nie postawił w tym miejscu znaku połamanego krzyża.

...i zapomnisz melodii z bajki Disneya...

Będziemy umierać patetycznie. — Maski śmiechu położymy na zimne twarze — że — śmierć nie jest...
Nie wiecie: w ogniu piasek przetapia się w szkło.
Ci co po nas przyjdą — z wizją okropnego pożaru skrzepniętego w oczach — będą budować wielkie domy w słońcu.
A następni co po nich przyjdą — spokojnie będą przerzucać karty historii.

Termin nadsyłania utworów scenicznych na

KONKURS

NASZEGO WYRAZU

upływa z dniem 1 września 1939 r.

Przypominamy warunki konkursu:

1. Sztuki nadesłane na konkurs nie mogą być przedtem wystawione ani publikowane (w całości lub w części).
2. Rozmiary utworu nie mogą przekraczać 100 stron maszynopisu.
3. Utwory należy nadsyłać pod godłem wraz z zamkniętą kopertą zawierającą nazwisko i adres autora, oraz 3 kupony konkursowe.

NAGRODY:

I-sza wystawienie w Teatrze „Cricot" i nagroda pieniężna.
II-ga wystawienie w Teatrze Akademickim i nagroda pieniężna.
Ponadto utwory wyróżnione będą wydrukowane w całości lub w części w N. Wyrazie
Jury zastrzega sobie prawo nie przyznania nagród, w razie nienadesłania wartościowych utworów.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

W stronę Skamandra

K. W. Zawodziński pracę swoją „Liryka polska w dobie jej kryzysu‘ („Przegląd Współczesny“ za czerwiec i lipiec b. r.) poświęcił przypomnieniu czytającej publiczności poetów grupy Skamandra. Przypomnieniu, bo jakże inaczej rozumieć powtórzenie przez autora raz jeszcze tez i argumentów wyłożonych kilka lat temu w „Skamandrze“ Ulubioną taktyką pisarską K. W. Zawodzińskiego jest podpieranie swoich sądów (a tym samym zmniejszanie ich ryzyka) cytatami z artykułów ludzi wywodzących się lub zbliżonych do zwalczanego przezeń kierunku (wciąż tego samego). W ten sposób praca „krytyka Skamandra“ nabiera z jednej strony cech objektywizmu, a z drugiej uderzając uderza podwójnie... poczwórnie. Jako jeden z zacytowanych (w omawianej pracy pragnąłbym wyjaśnić swoje stanowisko· gdyż· przyznam, ciąży mi sława „jednego z autorytetów w zakresie teorii i praktyki nowatorskiej, zwłaszcza zagranicznej poezji“. — Nie mam zamiaru prostować lub zmieniać wypowiedzianych w wiosennym numerze „Naszego Wyrazu“ moich poglądów na teorię Peipera i praktykę Czechowicza, pragnąłbym jedynie uzupełnić je zwracając się tym razem nie w stronę wrogów ideowych lecz przyjaciół taktycznych.

Zawodziński przeciwstawiając poetów grupy Skamandra awangardzie krakowskiej popełnia błąd zasadniczy: porównywuje zjawiska różnych wymiarów. — Utworom poetyckim przeciwstawia poetykę i odwrotnie prawami poetyki przez siebie uznawanej wyłącznie wartościuje utwory na innych zasadach zbudowane. I rezultatem jest nie tak pożądana krytyka subiektywna, ale jakiś, że się wyrażę, obiektywizm... subiektywny. Polemika z krytykiem Zawodzińskim jest trudna, trudna jeśli pragnie się wyminąć łatwizny demagogiczne i nie wpaść w ton tak często przez niego słyszany. Bo przecież nie chodzi o wypowiadanie na głos przez obie strony sprzeczych sądów· lecz dojście prędzej czy później do cienia chociażby porozumienia.

Ale jakżeż tu o cień w piwnicy? Zawodziński raz mówi o poezji „pojętej jako piękny kunszt, jako trudna sztuka· a nie jako pole otwarte wyczynom grafomanów“ a zaraz potem ilustruje to przykładami Brzechwy, Gołębiowskego, Hertza. Jak przekonać krytyka o niesłuszności jego zarzutów, gdy zwalcza przeciwnika urojonego, przeciwnika, którego sam wymyślił? Winienby sam siebie najpierw przekonać. Zidentyfikujmy wroga: „Grupa ta (awangarda krakowska) jest odpowiednikiem ekstremistycznych· rewolucyjnych artystycz., obliczających swą dziełalność na zepatowanie burżuja, na drażnienie ekscentrycznością mieszczańskich tradycyjnych upodobań, wysiłków bohemy artystycznej Paryża· występujących pod różnymi hasłami od kubistów do surrealistów, z programami za każdym razem inaczej brzmiącymi i inaczej uzasadnionymi“. Czy Peiper, Przyboś, Brzękowski, Ważyk,Kurek poznaliby siebie w tej definicji? Zawodziński robi wszystko, by przyponinać światu o swoich pupilach. Stwarza im przeciwników, ale na obraz i podobieństwo czyje? Oto pytanie.

Należałoby raz wreszcie skończyć z tą bujdą o francuskich wpływach na poetykę czy praktykę awangardy krakowskiej. Kto z tym pierwszy przyszedł i czy po to by zrównoważyć rosyjskie wpływy godzieindziej? — Zgodzą się wszyscy na istnienie odrębnych światopoglądów: zachodnio - europejskiego i lux ex oriente: w życiu, w polityce, w sztuce. Ale światopoglądu nie przejmuje się jak tematu wiersza czy rytmu. Buduje go się długo i drogo niejednokrotnie płaci. Źle by świadczyło o atracyjności francuskiej kultury (lub o krytyku wydającym sąd podobny)· gdyby nabywano ją tylko z myślą o zyskownej sprzedaży. Francja, jej kultura jest dla współczesnych tym, czym dla człowieka renesansu była kultura antyczna. Ciążenie w jej stronę jest naturalne, ale czyż równa się naśladownictwu? Myśl awangardy krakowskiej jest myślą ludzi zachodu (à propos: a jakąż myśl przeciwstawi im Zawodziński w imieniu poetów Skamandra? czyż wciąż tę samą wieczną opartą na 30 wiekach kulturalnej Europy? — o tym potem)· ale nie odpowiednikiem bohemy paryskiej.

Rozmawiając z poetami francuskimi o naszym ruchu nowatorskim spotykamy się ze szczerym zdumieniem, że za panowania dada a potem Bretona mogła powstać poetyka tak racjonalistyczna. Z ręką na sercu więc twierdzę, że teoria Peipera jest oryginalną, stuprocent. made in Poland (a stały kontakt awangardzistów z zachodem służył... do wymijania zagranicznych potknięć). Poezja także. — Konia z rzędem temu, kto znajdzie francuski odpowiednik Przybosia (jeśli mu bliski jest Supervielle to jedynie wspólnym im obu ideałem poezji, miarą wielkich poetów): a nawet Brzękowski („łącznik z modelami francuskimi“)· ten „francuski Brzękowski“ jest polski w każdym calu będąc jaknajdalej od cerebralnej pozycji Francuzów. (Brzękowski doczeka się jeszcze rehabilitacji i swojej ery: ten najmniej awangardowy (tak!) z punktu widzenia dogmatów „Tędy“ poeta stworzył własną logikę wyobrażeniową, czysty irracjonalizm i pewien jestem, że przyciągnie zuudzonych wizją własnych pępków adeptów „poezji czystej“)

Komu innemu dolega rozpoznana niedawno „choroba francuska“, to tym postawangardowcom sprawiedliwie ocenionym przez Zawodzińskiego. — Wyciąganie Apollinaire‘a, rozłażenie się w abstrakcyjnych nonsensach· uparte śnienie o niczym zagórszczyzna. Jeśli można mówić o nadrealiźmie polskim, to znajdziemy go u Czechowicza, Zagórskiego, u autentystów z Ożogiem i Stachowskim na czele (n. b. nadrealizm bezpłciowy, oparty jedynie o technikę Francuzów, których powtarza). Ale nie szukajmy go gdzieindziej, bo zgubimy swój cień i po co?

K. W. Zawodziński kiedy przestaje urągać awangardzie, mówi o rymie i o metrze. Przejęty swoją miarą nie odróżnia już poetów od wierszopisów. Nie chciałbym przeciągać struny (o tym pisano wielokrotnie), ale nie wydaje mi się prawdopodobnym, by na doskonalenie li tylko techniki poetyckiej Europa straciła 30 wieków swojej młodości. Żadne parti pris nie wytłumaczy takiego okaleczania europejskiej liryki. Nie chodzi o negowanie wartości rymu („chociaż więc wartość muzyczna rymu jest — żadna· to jego **znaczenie dla ukształtowania treści nie jest godne pogardzenia**“ — J. Przyboś)· tak jak wartości jakiejkolwiek. Strofa jest tak samo dobrym środkiem ekspresji jak wiersz wolny, czy proza poetycka i zarzut kataryniarstwa nie jest zarzutem ogólnym, lecz przystosowanym (lub wynikającym) do pewnych wypadków. — A złożyło się, że poeci Skamandra właśnie głównie tak wypadali.

Zawodziński pisząc o swoich poetach uwypukla ich postawę życiową, taką czy inną (retoryczne wieszczenie Wierzyńskiego, odi profanum Tuwima: tak jakby znalazł się poeta bez żadnej postawy!), a nie spostrzega ich wspólnej sceny: kabaretu. Jeśli Skamander wniósł coś do polskiej poezji, to kabaret. — Gest, mina (kłania się Gombrowicz) i pointe‘a do śmiechu lub do łezki. Efekty kabaretowe można stopniować: zmieniać dekoracje, kolor światła, kostiumy, postawę: w tym wydoskonaliła się i wykrystalizowała ars poetica tej grupy. Jednym (naczelnym) z argumentów autora „zarysu wersyfikacji“ przemawiającym na korzyść poezji realizowanej na obstalunek społeczny jest jej popularność. — Kabaret był zawsze popularny. Na tym właśnie polega wyższość poezji stosowanej· że jest popłatna (w sensie sławy, czy innym). We Francji książką poetycką, która rozeszła się w 100.000 (sto tysięcy) egzemplarzy jest „Toi et moi“ Paul Géraldy‘ego. Żaden ze współczesnych, a bardzo mało który z klasycznych poetów doczekał się takiej popularności. — Obstalunek społeczny jest niebezpiecznym argumentem.

Zawodziński zarzuca poezji awangardowej, że jest **integralna**, to znaczy „oczyszczona z anegdoty, z opisowości· z opisów przeżyć“. „Przy tak radykalnym oczyszczeniu liryki od czynników rzekomo jej obcych „wylewa się dziecko z wanienki razem z wodą“ odrzucając treść, sens, wogóle to, co się nazywa „żywiołem znaczeniowym“ w poezji“. Nieścisłości. (Drobne sprostowanie, nieważne zresztą: poezja awangardowa nie musi być integralna, gdyż integralizm jest własnością Brzękowskiego. Ważyk np. nie był „integralny“ będąc awangardowym). — Oczyszczenie z anegdoty (nie zawsze: patrz niektóre utwory Brzękowskiego), z opisów przeżyć wcale nie równa się odrzuceniu treści i tego „co się nazywa żywiołem znaczeniowym w poezji“. Przeciwnie, opis jest zawsze drogą najmniejszego oporu: poeta wybierający tę drogę daje świadectwo niemocy lub nieumiejętności przeżywania poetycko. Przeżycie i jego opis, to dwie różne i niewspółmierne rzeczy. Przeżycie poetyckie ma własną treść niezależną od akcesoriów jakie by one nie były, i oddanie tego przeżycia w stanie czystym, dynamicznym było ideałem praktyki awangardowej. Oszczędność (którą krytyk tak chwali u Tuwima!) polega na wyeliminowaniu czynników obcych właśnie w trosce o oddanie „żywiołu znaczeniowego“. Poezja awangardy (niechętnie uogólniam, jedynie z przymusu) tym się właśnie różni od tradycyjnej, że w walce z werbalizmem szła aż do męczeństwa· do prób stwarzania własnego języka. Nie wszystkim się to udało: ale Przyboś „najjaśniejsza głowa“ polskiej poezji może przekonać i niewiernego.

Pisząc ten artykulik nie mam zamiaru przedłużać żywota awangardy: ona się już skończyła. Poeci, którzy w jej „skład“ wchodzili poszli własnymi drogami i śmiesznym byłoby dziś mówić o klanie jakimś lub o ich solidarności artystycznej. Jeśli odpowiadam P. Zawodzińskiemu to tylko dla obrony pewnej **pozycji historycznej,** którą on w celu stoczenia zwycięskiej bitwy aktualizuje. O wpływ Awangardy czy Skamandra nikt się spierać nie będzie. Wpływy mogą być zawsze dobre lub szkodliwe i nie one świadczą o wartości wzoru. Z punktu widzenia troski o przyszłość poezji wiele założeń teorii Peipera jest szkodliwych. I te założenia wychowani na awangardzie mają odwagę zwalczać. Postawa buntu, która wielu ożywia, jest także nauką awangardy; postawa ta nie ułatwia zdobycia popularności, ale pomaga wypracowaniu własnego oblicza trudniej osiągalnego i cenniejszego niż pochwały krytyki.

Poetykę awangardową uważam za szkodliwą i spodziewam się niejednokrotnie ją jeszcze atakować: przyznam natomiast, że do głowy by mi nie przyszło poczynać spór o Skamandra. Bo kogóż zwalczać i w imię czego? Mimo niechęci K. W. Zawodzińskiego do Czernika, autentyzm jest prawym synem Skamandra. Obie te szkoły poetów łączy poczucie społeczności, które jest ich wyłącznym programem (i tu i tam chodzi o chwalebną chęć dojścia pod strzechy; z tą różnicą· że Czernik chce zwiększyć liczbę poetów a jego prekursorzy — klaki). Poezja popularna ma swoją rację bytu, ale czyż trzeba z niej robić przykazanie? Gdy zastanawiam się dlaczego podłe wiersze dają ludziom zadowolenie, dlaczego regularny rytm i rym czynią znośnymi bzdurne treści w wierszu zawarte („a jeżeli coś· a jeżeli tak“), to dochodzę do wniosku, że czytający szukał łatwej recepty na przeżycie (por. dawną gramatyką łacińską Sinki z receptami na przezwyciężenie reguł: „wskazuje, że po męsku się pojmuje...“), że przyjemność znajduje w regularnym, ułatwionym powtórzeniu tego co wiedział. Taka poezja niczego nie nauczy: wystarczy· że ludzie uczą się jej na pamięć.

Rola poezji nie wyczerpuje się jednak na rymowaniu powszechnych wzruszeń.

Wdzieranie się w noc nienazwanych doznań, odkrywanie w sobie świateł· obłędów, rozpaczy jest jej ideałem prometejskim. Nie rezygnuje ona z brania na serio człowieka, nawet wtedy, gdy nie potrafi go pojąć inaczej niż obłąkańczym spazmem strofy Gérard de Nervala:

„Je suis le ténébreux, — le veuf, — l‘inconsolé,
Le prince d‘Aquilaine à la tour abolie:
Ma Seule **étoile** est morte· — et mon luth constellé
Porte le **Soleil** noir de la Mélancolie“.

Walka o wielką poezję trwa jak trwała wiecznie. Ściera się irracjonalizm z racjonalizmem, forma z treścią... itd.

A jeśli przez niektórych zmagania te uważane są za li tylko ciekawy spektakl to pięknie, lecz uprasza się o nie wchodzenie z laskami na widownię.



E. GEPPERT — MÓJ PRADZIADEK

WŁADYSŁ W BODNICKI

Król dobrze wie jako Gdańsk jest szelmowskie miasto

Polscy literaci mają duży błąd do odrobienia. ich bowiem poprzednicy za mało zajmowali się i nie zbyt często dali wyraz artystycznego zainteresowania się polskim morzem, Pomorzem i Gdańskiem. A zdaje mi się, że o przynależności do Polski danej części państwa świadczy, a czasem nawet wyprzedza objęcie jej w posiadanie przez literaturę. Tymbardziej należy przypomnieć tych pisarzy. którym mamy to do zawdzięczenia. I rzecz ciekawa, iż pierwsza nasza powieść o Gdańsku wyszła z pod pióra — kobiety. Bardzo na czasie jest obecnie Deotymy „Panienka z okienka“ Należałoby wszystkich zachęcić do przeczytania nawet ci, którzy ją czytali x lat temu, przewertują te kartki z równie miłym i melancholijnym uczuciem, jak to z którym przegląda się po latach pierwsze miłosne listy. W rzeczy samej dobry to początek. Deotyma. w tym jak go nazwała, starodawnym romansiku. wykazała fantazję, pomysowość. pewien nawet dość duży artyzm w technice budowy powieści, raz tylko pośliznęła się i to już przy końcu. kiedy to dodaje „dwa grzyby do barszczu“ przez odnalezienie także siostry Kazimierza i to dotego wśród rodziny Jadwigi. Nawet naiwny czytelnik odczuwa wtedy, że autorka go „nabija“, że za dużo tego dobrego, że to nie jest prawdopodobne. Do zalet dochodzi i to, że w romansie na pół historycznym Deotyma jest bardzo sumienną pisarką, zwracającą dużo uwagi na źródła, jej szczegóły są prawdziwe. sumiennie zebrane. podane dość dokładnie, a co jest już dużą sztuką nie wyłażą z ram romansu. Znajdujemy opisy Gdańska i jego zabytków, mieszkańców. ubiorów. tańców. rządu, polskiego stanu posiadania za panowania Władysława IV. Z tych względów mogłaby być interesującą lekturą nie tylko dla nas, ale i dla Gdańszczan (nasza propaganda powinna się zająć przekładem „Panienki z okienka“ i rozpowszechnieniem w Gdańsku) Jakieś wzruszenie chwyta za serce, gdy czytamy opis ubioru oficera pierwszej marynarki polskiej: „Ubrany był dosyć osobliwie; nawpół po naszemu. a nawpół z cudzoziemska, bo też tak mniej więcej wyglądała cała flotta Pucka, w której urządzeniu wzorowano się z początku na marynarkach obcych, a zwłaszcza na szwedzkiej, najbliższej nam wedle sąsiedztwa i najlepiej znanej z powodu częstych zbrojnych sporów. Miał więc Pan Kaźmierz obcisły kaftan, czyli tak zwany kolet, z łosiej skóry, na ukos przepasany czarnym rzemiennym bandoletem, u którego wisiał obusieczny, nieco zakrzywiony kordelas. Rajtuzy uszyte z granatowej rasy, pod kolanem były przewiązane i wpuszczone w obuwie składające się nie ze zwykłych butów, ale ze zgrabnych półbuciów, lekkich, dla uwijania się po stromych piąterkach i oślizgłych wklęsłościach ówczesnych okrętów. Na kolecie nosił półkopieniak, z kroju dość podobny do burki, ciemny i włochaty po wierzchu, więc dobry na słotę lub wichurę, ale dobry i na pogodę, bo podbity czerwonymi niciami, które w dzień jasny odrzucały się na ramiona i rozweselały ubranie: ..... Włosy Pan Kaźmierz przykrywał nie śpiczastym szwedzkim, ani okrągłym niemieckim kapeluszem, ale kosmatą szczeropolską czapką jedną z owych prześlicznych, fantastycznych czapek jakie u nas kwitły za Wazów. Brzegi jej były w górę wywinięte i przeważnie ponacinane a u przodu stała kitka czarna przytwierdzona zamkiem srebrnym z emalią, gdzie drobniutko wymalowany kraśniał herb Marynarki Puckiej, ten sam co był wyszyty na banderze królewskiej, mianowicie: ręka po ramię obnażona, trzymająca dobyty miecz, wszystko w polu czerwonym“[1]). To uczucie towarzyszy nam także, gdy czytamy o flocie królewskiej stojącej w puckiej zatoce, składającej się z owych 5 okrętów co przewiozły Zygmunta III do Szwecji, o tej „Wodnej Armacie“ (nie oznaczało to bynajmniej artylerii wodnej, ale „armię morską“ czyli flotę wojenną, a nazwa była zepsutym przypomnieniem hiszpańskiej „Armady“[2]), o której „wonczas wszyscy gadali, co to będzie za flotta, jakiej świat nie widział“ a już zwłaszcza wtedy gdy natrafiamy na wzmiankę, że król buduje ono warowne miejsce Władysławów — to samo które po wiekach zbudował obecny rząd.



„KATOWNIA“ rys. Z. Wielowieyska



W pewnych miejscach ma się ochotę przerwać czytanie i oklaskami nagradzać pewne oracje n. p. „Co tu gadać, że my ludzie nie do wody. A ów Jan Skolnus, co był admirałem u króla Duńskiego... Pan Krzysztof Arciszewski — no a Sierpinek? Ten co mu Król Zygmunt August powiedział pewnego dnia „Stwórz mi Acan flottę“ i stworzył z niczego i wyrabiał ze swymi Freybitterami takie bajkowe cuda, że aż Bałtyk skakał z radości“.

albo: „Król dobrze wie jako Gdańsk jest szelmowskie miasto“

I teraz potrzebaby głosu jakiegoś burmistrza Freimutha, któryby śmiał przypomnieć: „... dobroć (królewska) nas popsowała. Kto nas to wyrwał z okrutnej Krzyżackiej opresji? Kto nas do serca przytulił? Kto jak nie one króle nasze oćce, nie ona wspólna matka nasza? Przez lat półtorasta my chleb u nich jedli za darmo, jako te małe dzieci, co nic nie robią, a dostają nie tylko swoją rację, ale jeszcze w dodatku i łakocie. A że teraz Król Jegomośc prosi tego co my już od lat półtorasta powinni byli dawać to krzyczym jakby nas kto żywcem ze skóry obdzierał. I wiecznież będziemy jako te liche minores? Albo jak te szerszenie próżniaki, co z ula miód wyjadają a same go tam nie przynoszą? Co my dotąd im przynosili? Nic jena krnąbrność i burdy i bunty. Król Jegomość dobry ociec, a my zawdy byli złe dzieci“.



Zaułek koło kościoła Mariackiego w Gdańsku. rys. Z. Wielowieyska

Święte słowa, a Gdańszczanie mimo wieków nic się nie poprawiają, należałoby im koniecznie pokazać herb bandery królewskiej.

Kończy się książka tym, że mieszkańcy Gdańska słyną z poszanowania dla zabytków przeszłości, więc może do dziś na domie p. Schultza zachowała się kamienna głowa panienki z okienka. Pod tym względem Gdańszczanie zmienili się, obecnie **słyną z nieposzanowania zabytków** — ze szkodą dla siebie samych.

---

[1]) Podobnie jak mundury podhorążych w 1863 r. powinni otrzymać uczniowie oficerskiej szkoły marynarskiej, te historyczne mundury.

[2]) Armata u Skargi i u Lindego oznacza wojsko.

ZOFIA WIELOWIEYSKA

FRANCJA CZUWA

Zwolennicy szufladek dawno zaszufladkowali już Henry de Montherlant'a. Przycięli tu i ówdzie wedle swego gustu i zamknęli lekko na klamkę, jako że szkoda się wysilać; — pracę zakończyli naklejeniem etykietki „efant terrible“ i spoczęli na wygodnym posłanku z liści pobkowych. (laurus nobilis) Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie jedno małe ale, że... znalazło się tu dosyć treści dla walczących ze sobą szufladek. szufladek wrogich i robiących do siebie złośliwe miny.

Otwórzmy pierwszą z brzegu z napisem „Prosto z mostu“ (Zaszufladkował Jan Dobraczyński 5. marca 1939): „I to jest może najsmutniejsze, że w dzisiejszej zżydziałej Francji, której gusta trudno jest nazwać gustami francuskimi, pisarz tej miary co M. nie może w tematyce niczego poszukiwać poza wąskim wycinkiem życia interesującym dekadenckiego czytelnika“. (Napisano z okazji tłumaczenia „Życia bez kobiet“. (Les Célibataires 1934).

Polski czytelnik rumieni się za rodaka z „Prosto z mostu“. Prawda że nie spodziewał się wiele, ale są pewne granice ignoracji nawet u nas. Bądźmy jednak cierpliwi — nie denerwujmy się — pomaluśku... niż się gniewać lepiej podać parę tytułów na użytek pana Dabraczyńskiego. A więc: **„La Relève du matin“** 1920 **„Les Olympiques“** 1924, **„Mors et Vita“** 1932, **„Service inutile“** 1935 i... to już pech... **„L' Equinoxe de septembre“ 1938.** Wszystkie te książki nie mają wiele do czynienia z wyżej wspomnianym wąskim wycinkiem życia. do którego widocznie p. D. czuje specjalną predylekcję. że udało mu się nie zauważyć tylu tytułów.

A najgorzej, że nie zauważył ostatniej niepozornej książeczki L' Equinoxe de septembre znaczy w naszym języku narodowym: porównanie jesienne, dosłownie: wrześniowe porównanie dnia z nocą. Książeczka powstała podczas wrześniowych zamieszek prawie — wojennych, właśnie w „dzisiejszej zżydziałej Francji“, ale jakoś do dnia 5. marca 1939 nie dotarła do recenzenta naszego żydofobicznego perjodyku. (A jest w niej też i o żydach, więc warto przeczytać. ale strony nie podam, niech się pan Dobraczyński męczy sam). Ukończono drukować dnia 9. grudnia 1938. Czas był.

Z okazji tej właśnie książki dostał się Montherlant (na lewicy) do szufladki z napisem: Zakamieniały faszysta. zwolennik Hitlera. entuzjasta Niemców i swastyki. Bardzo zabawne? Proponuję pięć minut śmiechu.

A po tym śmiechu dla zdrowia. druga skromna propozycja: przeczytać książkę Montherlanta. Ale o ile to możliwe — bez uprzedzeń. Nie wyławiając pro i contra — faszystowskich cytatów (a są takie i siakie w najlepszym gatunku) ale postarać się zrozumieć to, co autor w najgrubszych zarysach chce powiedzieć. Wtedy opłaci się nam to czytanie — dowiemy się wiele ciekawych rzeczy o nastrojach francuzów tych i tamtych w obliczu wojny, o ich lekkomyślności (w pojęciu autora. jakże zapobiegliwej na nasze stosunki). mobilizacji, obronie przeciwgazowej itp. Naturalnie dowiemy się tego wszystkiego. jeśli umiemy czytać także i między liniami. Czasem jakieś wtrącone zdanie na temat kupowania masek gazowych czy rozrzucania piasku na strychach zastanowi nas: a więc jednak świadomość bliskiej wojny była silniejsza w Paryżu niż w Krakowie i to w czasie, gdy my. odzyskiwaliśmy Zaolzie. Mobilizacja była prawdziwa. linia Maginota obsadzona naprawdę. Metz ewakuowano. Paryż się gotował. To są marginesowe aktualności, bardzo dla nas ciekawe. pisane na gorąco w formie pamiętnika, czy zapisków w notesie trzeba jednak zapamiętać, że to nie jest

treścią książki.

Treścią tej książki jest rachunek sumienia.

Treścią tej książki jest odparcie najcięższych zarzutów stawianych Francji przez inne narody w okresie wrześniowym, kiedy to

„Układ londyński poświęca Czechosłowację."

„Poświęca"? Przeciwnie. Dajemy jej „gwarancję międzynarodową" O sądźcie sami.

Pewna powiastka Barrès'a z lat młodzieńczych nosi tytuł „Zbyteczny heroizm". Istnieje także zbyteczna podłość, ta która niczego już nie uratuje". (118).

„Pewien dziennik naszej prasy prawicowej, oficjalnej strażniczki honoru, etc., .. pisze „Niektórzy Czesi głoszą, że lepsza byłaby wojna od rektyfikacji granic", i dodaje: Ta n e r w o w o ś ć..."

Bo wszystko, co we wszystkich językach świata nosi nazwę honoru, odwagi, dumy, godności osobistej, niektórzy nasi idealiści nazywają dzisiaj n e r w o w o ś c i ą. jeżeli chodzi o Czechów, bo ta „nerwowość" mogłaby nas zmusić do dotrzymania danego słowa". (str. 119)

Zdania te zostały napisane dnia 20 września. A 24 września, lakoniczny wycinek z gazety:

„Rola, jaką odegra nasz kraj pod czas tych niespokojnych dni pod koniec lata 1938, będzie jednym z cudów świata w historii naszej współczesności" Pułkownik de la Rocque. P e t i t J o u r n a l" (str. 124)

a dalej:

„Czechosłowacja mobilizuje", nasz rząd mówi, że wypełni swoje zobowiązania, jeśli Czechosłowacja zostanie zaatakowana" (str. 133).

8 godzina. — Efekt teatralny. Czterej spotykają się w Monachium. „Jeśli się spotykają, to znaczy, że u kład został zrobiony naprzód." „Pokój jest uratowany" (29 września) (str. 192)

„Pokój z honorem" beczą wieczorne dzienniki. Zapewne jeśli jakieś słowo już nic nie znaczy, można je przyprawiać z jakim się chce sosem" (198) (2 paźdź.)

i epilog:

„Na pół-trupie zdradzonego narodu, na pół - trupach honoru, godności i bezpieczeństwa, miliony ludzi tańczą pokojowy taniec świętego Wita." (str. 199).

Od napisania tych słów nie minęło pół roku, a pół-trup „zdradzonego narodu" stał się całym trupem. Sprawdziła się przepowiednia M. że gwarancje międzynarodowe były „po święceniem" Czechosłowacji. I Francja do tego dopuściła:

„jeżeli naród o stu dziesięciu milionach mieszkańców, który wydał przez 20 lat trzysta miliardów na armaty, który się wspiera na dwóch najpotężniejszych narodach świata, jeżeli taki naród jest słaby, to nie jest w tym bez winy. Naród ludzi inteligentnych, reagujący głupotą, naród bogaczów reagujący jak biedak, naród ludzi wyrafinowanych, który zawsze jest oszukany, naród pełen wartości, gdzie nieudolni nadają prawa, taki naród zniechęca i zniechęca do siebie swych najlepszych przyjaciół". (str. 225).

Ale Francja jest silna i Francja jest mądra. Czytamy to między wierszami montherlantowskich obelg. Dlatego warto narazić się na niepopularność i zarzut cierpkości wobec własnego narodu.

„Nie ma się wyrozumiałości dla tego, co się kocha, a my właśnie umieramy z wyrozumiałości: nie z wyrozumiałości w ogóle, bo przy sposobności umiemy być aż nadto surowi: z wyrozumiałości źle umieszczonej." (str. 229).

„Nie chodzi o nadzieję. Chodzi o to by zobaczyć swoje błędy, by poczuć za nie wstyd, a następnie z nich się wyleczyć." (str. 229)

Najgorsze zło w pojęciu Montherlanta to bezmyślny pacyfizm, strach przed wojną chowający się pod płaszczykiem dbałości o cywilizację, u święcona podłość wchodząca w nawyk, histeryczna chęć podobania się ze wszelką cenę. (Moralność midinetki). To wszystko stwarza „klimat agonii", na który Montherlant jest czulszy może od wielu innych francuskich pisarzy. Wielbiciel życia od radzającego się przez śmierć rozumie twarde prawa biologiczne odnośnie do narodów. Niebezpieczeństwo upatruje wewnątrz:

„Bo jeśli Francja jest silna, (a powtarzam, że łatwo jej być silną), nie będzie najazdu jasnowłosych. Nie ma niebezpieczestwa ze strony Niemców niebezpieczeństwo jest w nas." (56)

„Nie wrogowie nas wyniszczają, ale przyjaciele. Nie wszelkie tragedie ale małe kłopoty, straty czasu, biofagia społeczna. Wojna nie niszczy, bo — opłaca się — moralnie"... (str. 83).

A zresztą, czyż wolno uchylać się od wojny ludziom, którzy nie umieją używać pokoju? Albo płakać nad ginącą cywilizacją tym, których ona de facto nie obchodzi? Cywilizacja nie zginie na wojnie, zginie tylko pewna drabina wartości.

Tezy te wyglądają może naiwnie, może razić zbytni entuzjazm wojenny. Na zarzut taki znajdziemy odpowiedź w tej samej książce w liście do André Chamson'a:

„Jeśli kładę akcent na dobrych stronach wojny, to czynię to dlatego, że u nas kładzie się go bez miary, na jej okropnościach. Jeśli kładę akcent na odwadze..."

„Gdybym mówił do tych panów z Lacedemonii, powiedziałbym im: owszem, ale potrzeba także trochę inteligencji."

Akcent na odwadze, honorze, bohaterstwie kładzie Henri de Montherlant prawie na każdej stronie swojej książeczki. Tu patetyczny entuzjasta, za chwilę przemienia się w brutalnego cynika: czasem lekko z francuska miesza tematy poważne z frywolnymi, ale ciągle powraca do swojej upartej myśli: że podłość to większe nieszczęście niż wojna, że wojna nowoczesna w całej swojej okropności i mechanizacji nie wyklucza prawdziwego bohaterstwa, bo zawsze jest pole dla „mniej niż obowiązku i dla więcej niż obowiązku" — że jedynym mądrym dążeniem do pokoju jest siła moralna narodu, która ten pokój narzuca.

Na zakończenie odpiera zarzut, jakoby dawał do ręki broń zagranicznym wrogom Francji: „Czy myślicie, że czekali na mnie? Wystarczało im otworzyć oczy, a widzieli to co ja widzę." Dodam od siebie, a raczej od nas, polskich czytelników: Montherlant pokazał nam ducha Francji takiej jaką pragniemy ją mieć.

Jest pewne niebezpieczeństwo książki Montherlanta. Nie upajajmy się zbytnio jeśli przeczytamy rzeczy, które by mogły się do nas odnosić — zapewne montherlantowskie pojęcie honoru, siły, odwagi, bohaterstwa, to idee, na których my śmy się wychowali. Ale nie wolno nam zapominać, że książka Montherlanta pisana jest dla Francuzów. Kto wie czy na nasz użytek nie zaczynałaby się: .....Panowie z Lacedemonii"...

JALU KUREK

Wzbronione płakać

(z cyklu „Nowele Bezprzykładne")

Jan Skowron odjeżdżał pustym tramwajem w dalekie przedmieścia. Uciekał ku tym kawałkom pól, na które padało słońce natury, nie przepuszczone jeszcze przez pryzmat cywilizacji, na których osiadała nie zdeptana stopą miejską rosa. Za lat pięćdziesiąt ogarnie te zielone pola gorący oddech maszyn i budowli, a za lat pięćset będą się wzajemnie pożerały miasta Europy, potwornie rozrosłe i będą schnęły wielkimi kamiennymi oazami do słońca.

Nad tym podmiejskim pejzażem, przeciętym poziomą wstęgą zmierzchowego smutku unosiła się modlitwa Jana Skowrona:

— Trzeba nam budowniczych, lekarzy i maszynistów. Zrzuć nam z głów niepotrzebne myśli! Nie rozwinięte pragnienia obnosimy na wargach, a nocą roztapiamy je w oddechu.

Niech raz przestaną nas karmić trzygodzinnymi dramatami na scenach, nowelami w gazetach i odezwami na murach. Dlaczego nikt nie upomniał się u Prezydenta, aby wydał ustawę, regulującą krzyk sumień?

Idziemy ku tobie.

Jesteś kościołem uniesień, skwarną ucieczką od życia.

Błogosławiony bądź, żeś rozsiał spokój po górach i że czuwasz nad stowarzyszeniami dżentelmenów.

Na kipiących od trawy łąkach potykają się sennie krowy, kołysane monotonnym zawodzeniem pasterzy. Po niebie pływają tysiące oczu, nie mających nic lepszego do roboty.

A teraz jesteś koło mnie, albowiem czuję, że ktoś mi w chłodzie przekłuwa serce. To jest twoja ręka.

Nie modlę się o mój los. Płaczę nad losem dzieci które zginą.

Amen.

Na cmentarzu ocknął się Skowron z zadumy. — Widzi pan — mówi mu ks Walaszek, kapelan cmentarny — siedzę tu dzień i noc i kropię zwłoki. Myślę to samo, co i pan. Nie mogę tylko tego nikomu opowiedzieć, bo nie mam czasu. Muszę kropić zwłoki. Wojtuś, sprzątnij filiżanki.

Drobny staruszek o zdziecinniałej twarzy narobił huku niezgrabnymi buciorami, zanim, obciera jąc co chwilę nos, uprzątnął ze stołu ślady herbaty i szczątki ciasta. Był to dzwonnik cmentarny, który obsługiwał kapelana. Za dzwonienie o spokój dla wprowadzanych nieboszczyków dostawał piętnaście złotych na miesiąc, od księdza zaś otrzymywał dziesięć złotych za miesięczną obsługę. Od sowitszych pogrzebów miewał pewien procent. Wojtuś liczył lat pięćdziesiąt siedem, a od szesnastu lat nie wychylał się prawie poza cmentarną dzielnicę. Uniwersalnym jego napojem była gorąca herbata: zresztą z powodu marnej pensji nie mógł sobie pozwolić na lepszy wikt. Cieszył się jednak starowina z owych dwudziestu pięciu złotych, bo była to pensja „rządowa" i pewna: ludzie będą przecież zawsze umierali. Księdza swojego, którego przydzielono do kapelanii przed dziesięciu laty, polubił bardzo. Obaj byli góralami, pochodzili od Żywca i przy śpiewaniu Salve Regina słowa łacińskie szły im nadzwyczaj składnie. Tyczy się to Wojciecha Kukli, który swój miły, drżący tenorek umiejscawiał zgodnie z również cienkim i słodkim głosem ks. Walaszka. Inna rzecz, że dzwonnik nie rozumiał treści pieśni żałobnych, oklepanych w swych wargach przez tyle lat.

Skowron rozglądnął się uważnie po pokoju kapłana. Panowała i tu cmentarna atmosfera. W półmroku rozlewał się spokój, drażniący uszy. W dwóch oknach stały doniczki z kwiatami, pod ścianą fisharmonia, nad kanapą widniał czarny krzyż, pozatym stół, dwa stołki, książki i zeszyty. Przybysza uderzyły swą treścią wywieszki na ścianach z wiel kimi drukowanymi napisami : „Wzbronione płakać!".

Postać samotnego mieszkańca kapelanii cmentarnej była nieprzeciętna. Nie wszyscy wiedzieli, iż powołaniem tego kapłana było zbawienie ludzkości. Miał włosy srebrzystosiwe, ponad miarę długie, zaczesane w kosmykach za uszy i za kark — niczym drugi ks. Hlinka. W białej, bardzo białej twarzy świeciły wgłębione oczy chorym lecz fascynującym blaskiem. Budowa ciała, wysoka i chuda, nosiła wyraz ascezy. Nerwowo gryzł w zębach papierosa i cedził przez wargi ironicznym tonem:

— Bo za cóż mi płacą te osiemdziesiąt pięć złotych? Kropię zwłoki, odprawiam egzekwie w kaplicy i śpiewam przy grobie. Śpiewam naprawdę z przyjemnością. Wolę śpiewać niż kropić. Siedzę w tym domu wielkim i pustym jak skrzynia i nie mogę ruszyć się z miejsca. Wychylam się tylko przez okno i czekam na nieboszczyka. Wtedy wołam na dół: Wojtuś, stułę i komżę! I idziemy śpiewać. Niekiedy długo trzeba czekać, a zwłok nie ma. Godzinami siedzę przy oknie. Nikt nie umiera. Jestem nieswój, przykro mi. Gram na fisharmonii, czytam, piszę.

— U księdza jest, jak widać dolina płaczu? Brakuje tu jeszcze zgrzytania zębów — zauważył ironicznie Skowron, wskazując na napisy na ścianie.

— Ach, jest pan pierwszym człowiekiem w moim mieszkaniu, który nie płacze, poza moim Wojtusiem. Mam do czynienia tylko z ludźmi płaczącymi. W takim zawodzie można nerwy stracić. Musiałem chwycić się jakiegoś środka, aby przytłumić te fontanny łez, z którymi przychodzą do mnie ludzie. Ja nie mogę pocieszać ludzi. Moim obowiązkiem jest pociecha duchowna. Słyszy pan? duchowna. Za to mi płacą. Ja tylko kropię zwłoki i śpiewam przy zwłokach.

— Czy ksiądz zna profesora Groba z zakładu św. Trójcy? — zapytał nagle kapelana Skowron, wpatrując się bystro w jego twarz.

Tamten nie zmieszał się. Odpowiedział z tym samym zamyślonym wyrazem nawet z odcieniem wewnętrznej radości:

— Owszem, rozmawiam z nim często. Zachodzę do niego co niedzielę, nawet częściej. Jest na oddziale dla umysłowo chorych. Ja też tam byłem przez parę miesięcy w roku 1923. Odwiedzam tamtejszego dyrektora zakładu, lekarzy i innych znajomych. Prof. Gröb jest mądrym człowiekiem. Tylko nie sposób z nim mówić o fizyce i chemii. Ma bzika na punkcie swojego wynalazku. Ma to być pierwiastek służący do otrzymywania złota w uproszczony sposób Złota — słyszy pan? Ha, ha, ha? Mówimy wobec tego o polityce. On przepowiada wojnę światową od paru lat. Bezskutecznie.

— A co wielebny ksiądz myśli o tej sprawie? — zagadnął z udaną obojętnością Skowron, odrzucając wypalonego papierosa.

Kapłan skurczył się w sobie, namyślił się przez chwilę, najeżył brwi i mówił:

— Widzi pan, ja myślę to samo co i pan. Jesteśmy w przededniu katastrofy. Ja to mogę widzieć najlepiej, ja, nerwowy, samotny człowiek który się trudni odprowadzaniem umarłych do grobu. Przy każdej zapadającej w glinę trumnie myślę, że oto jeszcze jeden odlata od nas z tych, którzy nie oglądną ognia i rzezi przyszłej rewolucji. I serce moje jest szczęśliwe. Zakazuję wszystkim płakać, bo dusze te idą do raju i nie muszą się już męczyć. Przez tyle lat w tym domu myślę o katastrofie i ja jeden może widzę ratunek.

Tu kapelan wstał, wysoka jego postać zachwiała się w powietrzu i zaczęła gestykulować.

— Jesteśmy zdegenerowani, zepsuci, zgangrenowani. Jeden krok dzieli Europę od przepaści. Ale jeszcze jest czas.

Zbliżył się do Skowrona, schylił się nad jego uchem i szeptał::

— Pokuta może nas zbawić. Módlmy się, aby zostać świętymi. Jeśli w Krakowie będzie dziesięciu świętych, miasto nasze nie zginie. Ja wieczorami czytuję Żywoty Świętych. Nie urodzili się świętymi. Byli zwykłymi ludźmi. Pewnej nocy Bóg dotknął ich ramienia i tchnął w nich swego ducha. I stali się świętymi. We mnie Bóg też tchnął swój rozkaz. Muszę by świętym — słyszy pan? Muszę być świętym! Po nocach nie sypiam, modlę się, klęczę, czytając księgi, ćwiczę się w świętości. Chwi

23.

Wiosną na polach
śpiewają wciąż słowiki —
w moim ogrodzie,
aby zyskać ich przyjaźń
zaczęły kwitnąć śliwy!

Si no Ovomitsi (rachmistrz)

24.

Gdy kwiaty śliwy
opadają bezładnie,
na stokach wzgórza
dobrze przygotowane,
do wiosny, pieją słowiką.

Je no Movimaro (pisarz)

25.

Wiosną na polach
podnoszą się opary,
kwiat z śliw opada.
Patrzący mogą sądzić
że płatki śniegu tak prószą!

Ta no Mavito (pisarz)

26.

Jak z pąków wierzby
z zerwanych kwiatów śliwy
uwiłem wieniec —
Któż do wina w pucharze
opaść płatkom pozwolił?

Mura no Wotsikata (pisarz))

27.

W czasie, gdy słyszę
w pobliżu głos słowika,
widzę jak z śliwy
pada w moim ogrodzie
kwiat po pełni rozkwitu.

Ko no Oyn (pisarz)

28.

Skacząc po śliwie
z gałązki na gałązkę,
w moim ogrodzie
śpiewa słowik, żałując,
że wnet opadną kwiaty.

Ko no Ama (pisarz)

29.

Gdy widzę radość
z jaką wszyscy kładziecie
na włosy wieńce
z zerwanych kwiatów śliwy,
tęsknie wspominam stolicę!

Hanisi no Minutsi

30.

Gdy kwiaty śliwy
tak gęstą smugą prószą,
wydaje mi się,
że śnieg sypie swe płatki
na dom mej ukochanej.

Wonu no Kunikata

31.

O kwiaty śliwy!
z trudem mogły słowiki
was się doczekać!
ach nie chciejcie opadać
wbrew woli mego kochania!

Kadobe no Isotari

32.

Gdy mgły się wznoszą,
przez cały dzień wiosenny
miałem kwiat w włosach.
A jednak ciągle bardziej
cieszy mnie kwiecie śliwy!

Wonu no Tauri

Dodatek I.

Poeta Owotomo no Tabito przesłał 32 uta swemu przyjacielowi Yorosi. Przy tej sposobności dołącza 2 uta, wyrażające tęsknotę do stron rodzinnych i dodatkowe 4 uta o kwiatach śliwy.

1.

O wy zmieszane
z ostatnim śniegiem wiosny
kwiaty drzew śliwy!
nie padajcie tak śpiesznie
choćby śnieg nawet stajał.

2.

Wziąwszy od śniegu
barwę dla płatków kwiecia
zakwitły śliwy.
Teraz są w pełni uroku!
Gdyby je ktoś mógł widzieć!

3.

W moim ogrodzie
w pełni zakwitły śliwy.
Niestety! rychło
zwiędnięty kwiat opadnie!
Terazby na nie patrzeć!

4.

Śniłem, że do mnie
rzecze kwiat biały śliwy:
„Uważam siebie
za kwiat równy stolicy.
Daj mi płynąć w twym winie!"

II. dodatek.

List w odpowiedzi.

Yorosi z szacunkiem podaje do wiadomości:

Z głębokim uszanowaniem przyjąłem list nadany szóstego dnia czwartego miesiąca. Na kolanach otwarłem zapieczętowaną kopertę i z czcią czytałem upojne i kunsztowne poezje, a serce moje rozpromieniła błoga jasność, jakby zagościł w nie księżyc z Taiso. Samolubstwo opuściło mą duszę, a ona otwarła się, jak przed muzyką Nieba Rakkwo.

Urzędowy pobyt w pogranicznym mieście zasmuca duszę, strzały lat nie przestają padać, a gdy Pan pomyśli o wygodnym i spokojnym życiu, łzy się cisnąć muszą do ocz. Lecz człowiek rozumny spokojnie patrzy na rzeczy, a szlachetny nie rozpacza.

Z podziwem wyobrażam sobie, jak rano myśli Pan o zreformowaniu ustaw o ochronie bażantów, a wieczorem kontynuuje Pan akcję, dotyczącą wypuszczenia na wolność żółwi. W ten sposób na sto pokoleń prześciga pan sławą Tśo i Tśo i po tysiącleciu wstępuje Pan w ślady mędrców So i Kyo

Równocześnie otrzymałem dwa poematy:

na matach owianych wonią śliw grono znakomitych talentów skomponowało swe urocze uta.

a nad brzegami kryształowych wód Matsura z przekomarzań z dziewiczymi rusałkami powstały klejnociki poezji.

Wszystkie te wiersze równe są słowom, które zrodziły się pod drzewem moreli *): są podobne do pism o tych, którzy dla odpoczynku zatrzymują się na ławicy piaszczystej rzeki, gdzie rosną wonne zioła.

Z radością czytam je i recytuję z pamięci, czując dzięki nim pełnię szczęścia. Ja Yorosi tęsknię za Waszą Szlachetnością, a tęsknota moja nie mniejsza jest od tęsknoty wiernego psa czy konia. Dusza moja zwraca się, jak słonecznik, ku Pańskiej Doskonałości.

Ale niebiesko - zielone morze oddziela nasze brzegi, a białe chmury przegradzają niebo. Często obracam głowę i wyciągam szyję z tęsknoty, lecz jakże trudno pocieszyć Pana w zgryzotach.

Początek jesieni przyniesie zbliżenie. Teraz przez oficjalnych gońców przesyłam Panu, pełen poważania, te kartki listu. Yorosi z szacunkiem podaje to do wiadomości. Proszę wybaczyć uchybienia.

Uta

Mając trwać ciągle
w nieukojonej tęsknocie,
ileż wolałbym
ach! zostać kwiatem śliwy
w pańskim pięknym ogrodzie.

Informacje i refleksje.

„Kwiecie śliwy należą do wielkiego zbioru japońskich pieśni i poematów „Manyo-szu", reprezentującego poezję okresu Nara (literatura przedklasyczna 710-784 po Chr.) Zbiór ten powstał dzięki wieloletniej pracy poety Otomo no Jakamoczi w VIII w. po Chr., a składa się z 20 ksiąg, zawierających 4496 wierszy. Według treści można je podzielić na 5 kategorii: 1) wiersze dydaktyczne, opisy uczt i podróży, 2) wiersze wyrażące uczucia miłości, przyjaźni, uczucia między panem a sługą, między rodzicami a dziećmi czy rodzeństwem, 3) elegie, 4) alegorie, 5) mieszane poematy opiewające cztery pory roku.

Sam tytuł oznacza: „Zbiór 10.000 liści (utworów)" (man = 10.000, yo listek, szu = zbiór)

Pieśni pisane są chińskimi znakami, częściowo fonetycznie, częściowo ideograficznie. Znaki te nazywają się Manyo-gana, a sposób pisania (styl) Mayo-gaki. Większość wierszy poprzedzają chińskie wstępy, lub dołączone dopiski informujące o okolicznościach w jakich wiersze powstały.

Wskutek wieloznaczności znaków odczytanie tekstu sprawia uczonym do dziś dnia ogromne trudności.

*) Tam nauczał Konfutse

Istnieje wiele (już od 10 wieku) wydań japońskich z obszernymi komentarzami. Pierwsze wydanie europejskie dokonane zostało przez dr. J. L. Piersona jr., prof. Uniw. w Utrechcie przy współpracy dr. K. Florenza (Leiden 1938).

„Kwiecie śliwy" wchodzi w skład V. księgi, zawierającej 10 Naga-uta (t.j. dłuższe poematy) i 104 tanka (krótkie wiersze). W treści są to pieśni wiosenne i elegie.

Uta, krótki utwór, zawiera 31 sylab rozłożonych w 5 wierszach po 5, 7, 5, 7, 7, zgłosek. Dla przykładu podajemy tekst japoński (w transkrypcji romańskiej) z dosłownym tłumaczeniem (uta 23.)

1. varu no nu ni
wiosny (II p) polach na
2. naku ya uguvisu
śpiewają (wykrzyknik) słowiki
3. nakudemu to
zjednać - przyjaźń aby
4. vaga ve no sono ni
mego domu (II p.) ogrodzie w
5. ume no vana saku
śliwy (II p.) kwiaty rozkwitnąć.

2.

Można sobie wyobrażić taką sytuację: Nasz wojewoda poleski, zadąsany nieco, że urzędowanie (ustawy dotyczące ochrony bobrów) oddala go od kulturalnego życia stolicy, sprasza na bankiet elitę urzędniczą. Po którymś tam toaście podsuwa inteligentnie pomysł konkursu poetyckiego. Z piórem w ręku zasiada ją radośnie w kucki: dyrektor banku, wicewojewoda, inspektor szkolny, komendant garnizonu, lekarz miejski, rejent, prezes sądu, arcybiskup: grono domorosłych poetów — powstaje obfity zboirek poemacików. Pan wojewoda przepisuje go i wysyła do przyjaciela swego, powiedzmy, wojewody śląskiego. Ten wzruszony obsypuje komplementami utalentowane grono dygnitarzy z Brześcia n. Bugiem i sam dołącza uroczy drobiazg do odpowiedzi. Prawda: sielanka? Czy snobizm? grafomaństwo? wyskok dobrego humoru? A może kultura?

Czy tłumaczenie „Kwiecia śliw" podyktowane zostało chęcią ukazania — przez oryginalną ciekawostkę literacką — duszy narodu, tak dbałego o losy śliw, słowików i bażantów? Cóż za zuchwałe aluzje! Dzisiejsi japończycy — to potężni nosiciele kultury! Ach, przecie od tamtych czasów oddziela nas 1200 lat postępu i cywilizacji!

Gdy czytałem te drobne poemaciki przyszła mi na myśl taka refleksja: Coby zostało ze współczesnej poezji, gdyby poetom nie pozwolić: a) na ozdabianie i rozpychanie wierszy stylistycznymi metaforami, b) na patetyczną tematykę metafizyczną? Co? Możeby urzeczywistniało się to, czego nie umie się zdefiniować, a co intuitywnie tkwi na dnie tęsknot realizmu, autentyzmu, humanizmu czy awangardy: zostałaby poezja oparta na wzruszeniu czułego serca, na dziecięcej żywości wyobraźni i na zdyscyplinowanej kulturze rozumu. Czy byłaby to nowa poezja europejska czy stara poezja chińsko - japońska?

Stara poezja Dalekiego Wschodu uczy, jak być równocześnie młodym i dojrzałym, jak chodzić po zwykłej ziemi i być codziennym zjadaczem poezji, która staje się nieodzownym chlebem, jak zatrzeć różnicę między twórcą a czytelnikiem, jak fantazję związać z prawdą. Poezja ta jest prosta, ludzka, mądra, ziemska, dyskretna i zwięzła. Oparta na dyscyplinie sztuki i tradycji, a równocześnie wynalazcza i wieczna.

filologiczne tłumaczenie z oryginału:
Jan Wypler
literacka adoptacja
Ignacy Fik

WŁADYSŁAW BODNICKI

Na marginesie „Jak wam się podoba"

Z radością przyjęliśmy wiadomość, że teatr krakowski wystawia Szekspira: „Jak wam się podoba", ale po przedstawieniu na pytanie — jak wam się podoba? — musimy odpowiedzieć negatywnie. Aby umotywować dlaczego, potrzeba przeprowadzić chociażby bardzo powierzchowną analizę sztuki. Od czegóż ją zacząć? W prawdziwym dziele sztuki, jest tak, że od czegokolwiek zaczniemy zawsze dojdziemy do jakichś ciekawych wyników, z każdego wątka można wysnuć cały kłębek interesujących domysłów. Tak też z każdą sztuką Szekspira, zadanie jest więc ułatwione, ale zacznijmy w sposób raczej klasyczny. Uważa się tę komedię za jedną ze słabszych, podnoszono to już nieraz, że „rzecz dzieje się nie wiedzieć gdzie, a plącze „jak się wam podoba", albo raczej jak się podobało fantazji poety, nie troszczącego się bynajmniej o żadne w świecie prawdopodobieństwa formy".

W odniesieniu do całej twórczości dramatycznej Szekspira już Goethe uczynił tę słuszną uwagę, że u niego często bardzo sceniczna budowa jest zupełnie zaniedbaną — układ rzeczy — podrzędny — rusztowanie znika pod tymi bogatymi oponami, które na nich rozwiesza humor, dowcip, filozofia życia, blaski słowa i poezji kwiaty, a o tej właśnie komedii pisze Gautier: „sztuka tak niesforna, tak zwłóczona, że sam autor nie wiedząc jaki jej dać tytuł nazwał ją Jak się wam podoba: nazwa chaotyczna i mogąca odpowiadać wszystkiemu".

Przyjrzawszy się uważniej budowie tej komedii, spostrzeżemy, że Gautier nie ma całkowitej słuszności, bo wprawdzie brak w niej trzech jedności i złamany jest przepis co do maksymalnej ilości osób działających równocześnie na scenie (4), ale to jest wiekopomną zasługą Szekspira i w czasach Gautiera na pewno tę zasługę uznawano, są natomiast zachowane 4 części akcji (protasis, epitasis, catastasis i catastrophe), one sprawiają, że sztuka się nie rozłatuje, zaś słabość jej i innych polega na tym, że najczęściej, występujące w nich „osoby nie należą do żadnego czasu ani kraju, wchodzą i wychodzą niewiadomo jak i dlaczego, nie jedzą ani nie piją, nie mieszkają nigdzie i nie mają żadnego zatrudnienia, nie posiadają ziemi, dochodów, domów, nie kiedy tylko niosą pod pachą szkatułę pełną diamentów wielkich jak jajo gołębia, idąc nie strącają ani kropli dżdżu z główek kwiatów, ani też nie wznoszą źdźbła prochu z gościńca... „Wszystko splata się i rozplata z cudowną beztroską, skutki nie mają przyczyn a przyczyny skutków, najdowcipniejszą osobą jest ta, która mówi najwięcej głupstw, największy głuptas mówi najdowcipniejsze rzeczy, młode panny prowadzą rozmowy, które przyprawiłyby o rumieńce kurtyzany, kurtyzany wygłaszają maksymy moralne. Najniesłychansze przygody następują po sobie raz po razie bez żadnego wytłumaczenia"[1], ale gdy przyjmiemy, że są to utwory fantastyczne odpadają i one.

Rdzeniem akcji jest miłość Orlanda i Rozalindy, sprowadzona na fałszywe drogi, dzięki jej przebraniu za mężczyznę. Jest to na scenie tego okresu motyw całkowicie nowy, który wkrótce dzięki swym różnorodnym zaletom stał się pospolity[2]. Na ów czas kiedy do teatru z kobiet uczciwe chodziły tylko w maskach — był to pomysł bardzo śmiały, tymbardziej, że Szekspir nie ograniczył się jak późniejsi komediopisarze do qui pro quo, wynikających z takiego przebrania. On świadomie i finezyjnie przeprowadza niebezpieczną bo perwersyjną sztukę uwodzenia Orlanda przez Ganimeda — sztuka ta się udaje! Jeśli jeszcze do tego uwzględnimy pewne plotki biograficzne o poecie, to śmiałość przeprowadzenia pomysłu wzrasta i trudno mi się wstrzymać od domniemania, że na pół nieśmiały, na pół wyzywający tytuł — Jak wam się podoba — odnosi się ściśle do tej

[1] Gautier: Panna de Maupin.

[2] Nadzwyczaj ciekawą jest historia pewnych motywów w literaturze. Ten motyw i cała historia komedii Jak wam się podoba jak wiadomo jest przez Szekspira zapożyczony z powieści Filipa Sidney pt. „Arkadia" (1580 r.) oraz z powieści Lodge'a, zaś Szekspir był z kolei natchnieniem Gautiera do jego głośnej powieści: Panna de Maupin, znowuż echa Panny de Maupin odnajdujemy nawet u nas w Pogance Żmichowskiej itd.

części akcji. Wykonawczyni roli Rozalindy p. Matusiakówna za mało położyła na to nacisku, w stroju męskim nie uwodziła Orlanda, poprzestała na zabawie. Mniejsza o to gdyż sam tekst robił swoje, ważniejsze, że charakter groteski, który chciał nadać sztuce reżyser p. Radulski, zawiódł. (Mimo, że mój towarzysz, rodowity Anglik ze zgrozą i zgorszeniem patrzał na 2 gą scenę I aktu, w Anglii podobno zawsze wystawia ją — Jak wam się podoba — na poważnie, uważam, że mielibyśmy bardzo ciekawą inscenizację gdyby cała sztuka dała się utrzymać w takiej grotesce, niestety nie udało się to). Poeci mają czasem lepszy instynkt czy też zrozumienie danej sztuki i dlatego wolę koncepcję Gautier'a, który tak pisze: „Teatr, który lubię, to teatr fantastyczny, niedorzeczny, niemożliwy, na którym porządna publiczność gwizdałaby bez litości od pierwszej sceny [3]) jako iż nie rozumiałaby ani słowa... W tym teatrze, pisanym dla wróżek, który powinien być grany przy blasku księżyca, istnieje sztuka, która osobiście mnie czaruje (Jak wam się podoba)... Czytając tę dziwaczną sztukę, czujemy się przeniesieni w nieznany świat, którego każdy wszelako zachował jakieś mgliste wspomnienie: nie wiesz czyś jest umarły czy żywy; czy śnisz czy czuwasz. Wdzięczne figury uśmiechają się do nas łagodnie i rzucają w przelocie, przyjacielskie dzień dobry; czujesz się tak wzruszony i zaskoczony na ich widok, jak gdybyś na zakręcie drogi, spotkał nagle swój ideał lub jak gdyby zapomniany cień pierwszej kochanki zjawił się nagle przed tobą. Źródła, sącząc się, szemrzą wpół zdławione skargi; wiatr kołysze staremi drzewami odwiecznego lasu, które z współczującym westchnieniem szumią nad głową starego, wygnanego księcia. Kiedy melancholijny Jakub pozwala płynąć z biegiem wody, wraz z liśćmi wierzby, swoim filozoficznym utyskiwaniom, zdaje ci się, że to ty sam mówisz i że najtajniejsza, najbardziej ciem na myśl twego serca odsłania się i rozjaśnia... Trzeba zostawić zupełnie wolne pole autorowi, **fantazja** powinna panować wszechwładnie".

Gautier daje także wskazówki dekoratorowi: „Dekoracje nie są podobne do żadnej ze znanych dekoracji... Nasz młody malarz zdziałał w istocie cuda: — niepodobna było dać osobliwszy charakter starym pniom drzew i oplatającym je bluszczom. Wziął model z roślinności parku akcentując ją i przesadzając jak powinno być w dekoracji. Wszystko odtworzone jest z cudowną swobodą i kaprysem: kamienie, skały, chmury wykrzywiają się tysiącem zagadkowych grymasów, błyskotliwe refleksy igrają po rozedrganych i mieniących się jak srebro wodach. Naturalny chłód tej roślinności cudownie podkreślony jest barwami szafranu, jakie rzuca na nie pendzel jesieni. Las mieni się od zieloności szmaragdu aż do purpury krwawnika, gorące i chłodne tony ścierają się harmonijnie: nawet samo niebo przechodzi od najtkliwszego błękitu aż do najhardziej ognistych kolorów". Obok położenia akcentu na groteskowość przez co obaj książęta wypadli głupkowato, największy zarzut podniósłbym przeciw dekoracjom. Co do mnie wolałbym czekać po pół godziny na zmiany dekoracji (nie jest ich znowu tak wiele) pomiędzy poszczególnymi scenami, niż te błyskawiczne, zlatujące z góry landschafty, zaś przez jakąś namiastkę lasu, zatracono utopię, w którą wierzono aż po czasy nowożytne, szukając w idealnej naturze leków na choroby społeczne i widząc w niej skryte wspomnienie biblijnego Raju, odwiecznego marzenia ludzkości, tęsknoty za stanem doskonałości i błogości, leżącym niestety poza warunkami życia rzeczywistego. Zatarto ideę przełożenia życia w lesie nad dworskie. Dyrekcja poskąpiła na wystawienie tej sztuki: zamiast bogatych dekoracji i takichże kostiumów, wydobyło jakieś stare, zużyte nieefektowne od których można było odróżnić zaraz kilka nowych, bardzo ładnych ale nie stonowanych ze starymi (służba królewska w 2 scenie) Aktorzy wszyscy[4]) zagrali dobrze choć nikt się specjalnie nie wybił. Między innymi zdaniami o tej komedii powiada Gautier: jest bardzo możliwa do odegrania zwłaszcza dla amatorów, którzy nie nasiąknęli teatrem innego stylu, obawiam się, że i tu ma słuszność!

Co do tłumaczenia p. Adama Polewki to jeśli ufać słuchowej pamięci, bardzo mało odbiega od poprzednich.

---

3) Widocznie od czasów Gautiera porządna publiczność na mniej sobie pozwala. Szkoda!

4) Od dość dawnego czasu denerwujący zwyczaj ustalił się w tutejszym teatrze, że każdy pasterz występujący w jakiejkolwiek sztuce jest ucharakteryzowany na greckiego pasterza i postawiony na śmieszne koturny pseudo klasycznych pasterskich tragedii, przytem ton głosu, którym wypowiada kwestię woła o to aby jakiś deus ex machina cisnął w niego gromem z jasnego nieba.

Na tropie nowych form scenicznych

Tegoroczne Dni Krakowa nie przyniosły nic nowego w zakresie teatru — co zresztą wcale nie znaczy, żeby imprezy Konfraterni Teatralnej czy A. Polewki były nieudane. Wystawiony przez Konfraternię „Kawaler księżycowy" Niżyńskiego, miła, zlekka stylizowana na fantastyczno-aktualną rewię sztuczka miała już jako rodzaj sporo prototypów, tak, że najważniejszą atrakcją tego widowiska stały się pomysłowe a przede wszystkim bardzo po malarsku zaprojektowane kostiumy T. Orłowicza i ilustracja muzyczna Mikuszewskiego. Igrce" Polewki znane nam były z przeszłego roku: nie chodzi tu oczywiście o tekst, który się rozrósł, zapełniając już dwa spektakle — ale o sam gatunek tego teatru, który nazwałabym „eru dycyjno-ludowym". To określenie jest może sztuczne i zatrącające z daleka paradoksem, nie mniej nieźle oddaje, moim zdaniem, charakter „Igrców". Bo „Igrce" — zlepek bardzo różnych „numerów", pomiędzy którymi znaleźć można wszystko od skeczów i pantomim poprzez inscenizacje wierszy i piosenek, balety i, oczywiście najsłabsze, prawie operowe występy śpiewaków aż do popisów jarmarcznych sztukmistrzów i połykaczy ognia — posiadają bardzo luźną wspólną więź anegdotyczną (bo w związku z nimi trudno mówić o jakiejś akcji). To co łączy te tak różne gatunkowo numery przedstawienia, to specyficzny ich charakter, którego wprowadzenie i utrzymanie przez cały ciąg przedstawienia jest prawdziwą zasługą Polewki. Trudno zdać sobie sprawę co tu jest ważniejsze: czy łatwy a czasem nie pozbawiony finezji archaizowany wiersz i język, czy same, przeważnie autentycznie średniowieczne pomysły inscenizacyj. Zdaje mi się też, że tam, gdzie jest on odtwórcą i tłumaczy z innych języków lub opracowuje na nowo staropolskie wątki tam staje się najbardziej twórczy; stwarza tę właśnie dziwną atmosferę teatru erudytów i szkolarzy, którzy bawią się wesoło, po średniowiecznemu prosto i niewybrednie a dla urozmaicenia programu mającego być dostępnym także i dla nieuczonych, poczciwych łyków zapraszają na „gościnne występy" jarmarcznych hecarzy i żonglerów.

Zupełnie inny charakter miały występy gackiego teatru Uniwersytetu Ludowego im. Wł. Orkana, które w tym czasie mieliśmy okazję oglądać w Krakowie. Nie miały w sobie nic z dowcipnej, lekkomyślnej, wyrafinowanej rewii ani ze stylizowanej na "dostojne, historyczne prostactwo uczoności. Pomijam tu oczywiście wartość społeczna i sens społeczny tego teatru i samego widowiska, jak również wszelkie efekty przypadkowe a przyczyniające się do podniesienia w naszych oczach jego wartości artystycznej. Tak na przedstawieniu w Kawiarni Plastyków naprzykład widziało się rzeczywisty tłum i autentyczny ścisk — a nie z rzadka i mądrze rozstawionych statystów, do czego przyzwyczaił nas Teatr Miejski. Również niezamierzone były duże i zdeformowane cienie postaci i całych poruszających się grup rzucone przez blisko ustawione reflektory: wywołała je płytkość sceny i wklęsłość horyzontu. Łatwo powiedzieć co nie jest tym teatrem i co nie jest jego zasługą; o wiele trudniej zdać sobie sprawę czym jest naprawdę jako zjawisko artystyczne i co stanowi o jego wartości. A pomijając już sprawę kompetencyj jakie powinien posiadać recenzent piszący o zjawisku nowym nie tylko w naszym życiu teatralnym myślę, że wydawanie sądu o jakimś teatrze na podstawie tylko jednego widzianego przez siebie przedstawienia byłoby rzeczą w najlepszym wypadku ryzykowną. Dlatego nie piszę recenzji, chcę tylko zwrócić uwagę na prostotę, naturalność i równocześnie pewną stylizację słowa i gestu, które razem wzięte składają się na tę uderzającą inność gackiego teatru, odrębność panującego w nim stylu. Skąd wziął się ten „styl"? Dlaczego tak silne wrażenie robią sceny zbiorowe w inscenizacjach tego teatru, który prawie nie uznaje solistów, monologów i nie daje pola do popisu swoim „gwiazdom". Dlaczego te sceny zbiorowe nie przedzielane i nie kontrastowane występami „gwiazd" nie nużą ani nie niecierpliwią?

W scenach zbiorowych, a raczej „tłumnych" gackiego teatrzyku wykonawcy nie są ani sztywnymi marionetkami - girlsami poruszającymi się mechanicznie, ani wygrywającymi indywidualnie rozdzielone role poszczególnymi aktorami stłoczonymi przypadkowo na niewielkiej przestrzeni. Ich słowa i ruchy są „ stonowane" i podporządkowane ściśle ogólnej kompozycji widowiska, a przecież zróżnicowane i pozbawione sztywnego schematyzmu. Ustawiczne operowanie tłumem jest tu zamierzone i celowe. Zamierzone, bo teatr ludowy dysponuje zawsze prawie tylko małą scenką, więc ścisk na estradzie Kawiarni Plastyków był dla tego teatru normalnym, codziennym ściskiem. Celowe, bo pokazanie **każdego z osobna** z pośród wykonawców, robienie z chłopskich amatorów aktorów a z teatru ludowego, który jest nie tylko teatrem w naszym rozumieniu tego słowa, ale także pracą społeczną i wspólną zabawą, regularnego teatru, mogłoby sprawić, że końcowy efekt artystyczny tej imprezy wypadł by gruntownie inaczej.

Z rozmowy z p. Solarzową i z paru „aktorkami" dowiedziałam się z grubsza o sposobie w jaki opracowuje się w Gaci poszczególne „numery": podaję go tutaj, bo zdaje mi się, że przede wszystkim w metodzie pracy tego teatrzyku należy doszukiwać się genezy jego wartości i odrębności (oczywiście artystycznej). A więc przyjęty przez wszystkich projekt jakiejś treści (fabuły) inscenizacji omawia się i wspólnie ustala w ogólnych zarysach; powstaje w ten sposób kanwa, która jak w dawnej komedii dell'arte pozostawia aktorom wiele swobody. Reżyser i inscenizator w jednej osobie nie narzuca wykonawcom ani słów, jakie mają wypowiadać, ani sposobu ich interpretowania, nie narzuca im swojej własnej koncepcji. Praca jego polega już tylko na eliminowaniu zbędnych słów, gestów i intonacyj. W ten sposób uzyskuje naturalność gry aktorskiej — (tak przecież trudną do osiągnięcia w zespole amatorów) — bo każdy mówi swoim własnym językiem i w ruchach naśladuje tylko siebie, i naturalność tekstu prostego, pozbawionego literackich nadbudówek, W ten sposób uzyskuje się także jednolitość obrazu, w którym niektóre zbyt zindywidualizowane, odskakujące od całości gesty ruchy i słowa ulegają ściszeniu. Obraz dzięki eliminacji rzeczy zbędnych i dostosowaniu do ogółu zbyt odrębnych zdobywa jeszcze większą prostotę, chciałoby się powiedzieć „klasyczną" gdyby nie dwuznaczność tego słowa, które w teatrze sugeruje czasem rzeczy, których tu nie widzimy, np. długość i barwność tyrad itd. Tu tekst jest ograniczony do minimum koniecznego, aby utwór był w ogóle komunikatywny; w związku z nim jak i ze sposobem interpretacji aktorskiej można mówić raczej o niedopowiedzeniu.

W toku pracy tekst[1]) jak i ruchy, gesty i intonacje ustalają się i nie ma już miejsca na żadne niespodzianki i przypadkowość; widowisko jest gotowe.

Gacki teatr ludowy swój odrębny styl i swoją wartość artystyczną zawdzięcza przede wszystkim szczęśliwie i mądrze wybranej przez kierownictwo metodzie pracy — co nie znaczy wcale żeby inne, pominięte tu czynniki były bez znaczenia.

1) Jeżeli tematem inscenizacji jest jakiś poemat, wiersz, czy piosenka, to naturalnie tekst jako dany z góry nie ulega zmianom, zostaje najwyżej skrócony.

H. Wiel.

Przegląd prasy

O UŻYWANIU PSEUDONIMÓW

W „Gazecie Polskiej" (1. VII. br.) prof. Tadeusz Zieliński w artykule pt. „Z otwartą przyłbicą" omawia sprawę używania pseudonimu. Zawsze byliśmy zdania, że pisanie pod pseudonimem ma znaczenie antywychowawcze, gdyż wpływa na zmniejszenie się poczucia odpowiedzialności za rzecz napisaną, że jest dopuszczalne tylko w wyjątkowych wypadkach i **nigdy** w polemice — to też z całą satysfakcją pozwalam sobie przytoczyć zdanie o tym prof. Zielińskiego i cytowanego przez niego Schopenhauera.

Prof. Zieliński: „...pragnąłbym z całym naciskiem wskazać na dziedzinę, w której według mego najgłębszego przekonania, ta otwarta przyłbica, stanowi obowiązek, a anonimowość powinna być uważana za hańbiącą dla samego autora, który się do niej ucieka Tą dziedziną jest polemika".

Schopenhauer: „Przedewszystkim więc musiałoby przy tym odpaść owo godło wszelkiego łajdactwa, anonimowość..." „I jak istnieją lekarstwa uniwersalne, tak mogę polecić następującą antykrytykę uniwersalną przeciwko wszystkim recenzjom anonimowym: Szelmo nazwij się! Napadać pod maską i kapturem ludzi, chodzących z twarzą odkrytą — tego nie robi człowiek rzetelny: robią to tylko hultaje i łotry. A więc: szelmo, nazwij się!"

NAGRODA ZA NAJPIĘKNIEJSZĄ POLSZCZYZNĘ

Nagrodę Polskiej Akademii Literatury za najpiękniejszą polszczyznę przyznano Wacławowi Grubińskiemu za „Listy pogańskie" Nikt by z pewnością nie pomyślał kwestionować słuszności tej uchwały nagradzającej dobrą książkę, gdyby nie to, że kontrkandydatem Grubińskiego był świetny stylista polski Jan Parandowski. Nie powinno go było ominąć to **pierszy raz w Polsce** nadawane odznaczenie.

PION BĘDZIE WYCHODZIĆ!

W sprawie „Pionu" wypowiedziały się już wszystkie pisma interesujące się na serio sprawami sztuki. Stojąc na stanowisku, że ten tygodnik był nie tylko potrzebny, ale i konieczny dla normalnego rozwoju kultury polskiej, nie myślę polemizować z jego przeciwnikami. Ani ze złośliwie ucieszonym „Dziennikiem Ludowym" — bo polityczne pobudki tej niewczesnej uciechy są aż nadto widoczne — ani ze zgryźliwą notatką żywo i zawsze interesująco redagowanego „Słowa" — którego radość z chwilowej „niedyspozycji" Pionu jest dla mnie zupełnie niezrozumiała. Pragnę tylko zwrócić uwagę na dwa ostatnie głosy: „Polityki" i „Czasu".

„Czas", który pierwszy rozpoczął „propionową" kampanię i wszechstronnie umotywował jego rację bytu, w dalszym ciągu nie zapomniał o sprawie. „Zawsze z uporem broniliśmy wartości i potrzeby jedynego czysto literackiego tygodnika stolicy. A nie potrzeba również przypominać, że w w niejednej sprawie toczyliśmy z „Pionem" ostre i zasadnicze spory", pisze w „Zagadnieniach" z 11. VI. br.

W „Polityce" Wiesław Wohnout ujmuje rzecz całą z odmiennego, nie artystycznego punktu widzenia; nie mniej pisząc o Pionie nie można pominąć jego słusznych uwag, które są ważnym argumentem za utrzymaniem tego pisma: „Nie jest dobrze, iż między „Wiadomościami Literackimi" a tygodnikiem „Prosto z Mostu" nie będzie „Pionu". **Nie jest dobrze,** oczywiście nie z punktu widzenia interesów tej, czy innej koterii literackiej — ale z punktu widzenia **kultury polskiej".**

Teraz sprawa „Pionu" jest już szczęśliwie przesądzona: z komunikatów rozesłanych prasie dowiadujemy się, że „Pion" będzie na nowo wychodzić, mając tym razem za naczelnego redaktora J. E. Skiwskiego. Czy jednak będzie w dalszym ciągu tym czym był dotąd, to jest wyrazicielem nowoczesności w sztuce i jedyną wspólną platformą pisarzy młodego pokolenia bez względu na ich polityczne sympatie — przyszłość pokaże. Z komunikatu dowiadujemy się tylko, że „Pismo ma być terenem wypowiedzi polskich reprezentujących różne kierunki, stojące wyraźnie na gruncie narodowym i państwowym" [1]). Jest to zapowiedź tak nic nie mówiąca i ogólnikowa, że aż niepotrzebna. Jesteśmy potrosze przyzwyczajeni — i trudno żeby kogoś zadziwił projekt pisania w Polsce po polsku, („pismo ma być terenem wypowiedzi polskich")? a sam pomysł stania „na gruncie narodowym i państwowym" nie jest na szczęście niczym oryginalnym i nie może się stać cechą wyróżniającą. Zdanie, że te wypowiedzi „mają reprezentować różne kierunki" może być rozumiane rozmaicie, w sensie eklektyzmu artystycznego lub politycznego. Pion, redagowany przez Romana Kołonieckiego był eklektyczny w obydwu tych znaczeniach; dopuszczał do

głosu wyrazicieli różnych odłamów tak politycznych jak i artystycznych — i nie wychodził na tym źle. Miejmy nadzieję, że nowy Pion podtrzyma tę tradycję.

¹) Cytuję z notatki IKC z dn. 8 bm.

SPRAWA FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ

Pod tym tytułem „Czas" z 9. VII. br. zamieszcza bardzo słuszne uwagi na temat odmówienia przez Fundusz subwencji „Kamenie": „Rozdział funduszów i stypendiów wywołuje bardzo poważną krytykę i zastrzeżenia. W ostatnim numerze miesięcznika literackiego „Kamena", poświęconego w całości górom, czytamy, że trzykrotne zwracanie się do Funduszu o niewielki zasiłek spotykało się z odmową. Stanowisko conajmniej dziwne. Rola „Kameny" w życiu kulturalnym nie tylko Lubelszczyzny jest znaczna. W ciągu 6 lat działalności wydawniczej żywo redagowany miesięcznik przyniósł nie jedną wartościową pozycję. Odmawianie setek na kontynuowanie wydawnictwa, przy jednoczesnej hojności, wyrażonej tysiącami złotych osobom często na to nie zasługującym, mówi samo za siebie.

Reforma Funduszu Kultury Narodowej, który nie może podlegać decyzji jednostki, powinna być przeprowadzona jak najprędzej. Domagają się tego młodzi uczeni i artyści. Głosy rzeczowej krytyki, popartej argumentami, nie powinny pozostać bez echa".

Teraz, kiedy przestała wychodzić „Okolica Poetów", Kamena jest **jedynym** pismem poetyckim w Polsce. Odmówienie jej subwencji graniczy ze skandalem.

Helena Wielowieyska

SPOJRZENIE KU

Już po wydrukowaniu mojego artykułu pt. „Krol dobrze wie jako Gdańsk jest szelmowskie miasto" przeczytałem w Wiadomościach Literackich Nr 31—32 artykuł p. Krzyżanowskiego pt. „Dobre chęci Deotymy" i uważam za stosowne jeszcze raz zabrać głos, gdyż w dobie „anarchii krytycznej" jaka panuje obecnie (zwłaszcza w krytyce poezji i beletrystyki współczesnej) uczciwy krytyk natrafiwszy na sąd przeciwny swojemu powinien zrobić rachunek sumienia. Ponieważ moje zdania na temat powieści Deotymy „Panienka z okienka" są wręcz odwrotne od p. Krzyżanowskiego muszę i ja to uczynić. I tu popadam w pewną rzekomą sprzeczność. Przyznaję bowiem, że słuszność ma p. Krzyżanowski gdy wytyka Deotymie archaiczną formację romansu historycznego, scottowski stosunek do faktów historycznych oraz fałszywą stylizację językową a mimo tego nie cofam pochwał już wypowiedzianych. Jakżeż więc jest możliwe aby z dwóch sądów różnych oba były słuszne? Otóż wady te, które wytknął p. Krzyżanowski są prawdziwe dla historyka literatury, który zna czas powstania dzieła, poprzedników danego gatunku różny — równoczesny poziom artyzmu — dla „szarego" zaś czytelnika, który powieść tylko czyta i ewentualnie przeżywa sądy takie nie istnieją. I dlatego apeluję o uchylenie wyroku skazującego „Panienkę z okienka" na zapomnienie.

Tymbardziej, że da się obalić pewne zarzuty jak ten, że rzecz cała mogłaby się rozgrywać równie dobrze w Krakowie lub Lwowie. Naturalnie, że mogłaby gdyby nie to, że autorka dając „pedantyczne" opisy ulic Gdańska, domostw, wnętrz i ubiorów i czyniąc „aluzje do polsko-gdańskich stosunków historycznych" ścisle umiejscawia akcję.

Również z tego, że kilka lat przed tym starodawnym romansikiem powstała świetna Trylogia Sienkiewicza, nie wynika, żeby całkiem potępić i skazać na zapomnienie tę słabszą książkę. Każdy przecież zna poczucie miejsca Deotymy a Sienkiewicza w hierarchii powieści historycznej.

Tak samo język pani Flory — czy każda żona burmistrza jeśli jest piękna i sprytna musi być bardzo wykształconą?

Wł. Bodnicki.

W związku i o „zestawieniu treści" „Wiad Literackich" za okres 1924 i 1933

Od dłuższego już czasu można zauważyć, tym razem szczególnie mocne i niedwuznaczne nasilenie to zw. „*adamityzmu*" — w tym znaczeniu, jakie nadał powyższemu słowu K. Irzykowski. Inaczej mówiąc: rozważania na różne tematy (zwłaszcza „kulturalne") zaczyna się zwykle od Adama i Ewy, ignorując wszystko co w danej sprawie napisano już do tej pory i co już ustalono. Coraz częściej pojawiają się również głosy, usiłujące tę (względnie!) nową metodę uświęcić, coraz częściej i z coraz większą dezynwolturą sformułowań, wyraża się pogardę dla zastanego dorobku. Nie chciałbym być źle rozumiany: pewną obojętność na prawdy „archiwalno - muzeowe" okazywali teoretycy, zwłaszcza nowatorzy i obrazoburcy — zawsze. Zwykle bywała to jednak tylko niechęć do „pedantycznego" szperania, tylko sui generis filuterność lub niecierpliwość. Taki Boy - Żeleński lubił naprzykład wykpiwać książkowych moli, co pół życia tracą podobno na wzajemne cytowanie się, ale sam — gdy temat tego wymagał — nie tylko sięgał do właściwych źródeł i cytował je, lecz czynił to nawet wcale metodycznie i pilnie, choć z nieszkodliwym i raczej sympatycznym uśmieszkiem. Dzisiaj inaczej. Wystarczy przerzucić pewne tygodniki, by zrozumieć, że krytycy i publicyści „nuworisze" wkraczają na śliski teren zadawalania się zwiotczałymi komunałami i to na tematy, które posiada ją już za sobą wcale obfitą bibliografię b. cennych pozycji. To już nie ekstrawagancja nowatorów, lecz zadowolona z siebie i leniwa płycizna, brak szacunku dla własnego czytelnika, zastępowanie gruntownych i udokumentowanych przemyśleń letnimi frazesami. Dlatego właśnie dziś bardziej, niż kiedykolwiek trzeba zaakcentować konieczność uwzględniania gotowych wyników, potrzebę liczenia się z dorobkiem poprzedników.

Powiedzmy jednak odrazu, że sprawa nie jest w praktyce tak prosta, jakby się mogło wydawać napozór. Choćby dlatego, że prace — zwłaszcza dotyczące ostatnich dziesięcioleci — bardzo często można odnaleźć tylko na łamach czasopism. Jeśli zważyć nadomiar, że orientacja w istniejących bibliografiach przedstawia nawet dla „fachowców" niemałe trudności, jasne jest, iż udostępnienie szerszym warstwom materiału, zawartego w dawnych rocznikach pism, wymaga pewnych ułatwień. Ułatwieniem takim mogą być w pierwszym rzędzie przejrzyste i dokładne bibliografie prac, pomieszczonych w określonych, z takich czy innych względów godnych uwagi periodykach.

Z tych przyczyn z prawdziwym za dowoleniem należy powitać wydane niedawno przez „ Wiadomości Literackie".

„*Zestawienie treści — Indeks ilustracyj — Pseudonimy i Kryptonimy*", (za okres 1924 — 1933) w opracowaniu *p. Mariana Toporowskiego*. Książka — napozór sucha, „buchalteryjna", katalogowa, posiada wartość dużo większą i trwalszą od niejednych połowicznych „syntez" i rozgadanych „przekrojów". Ponad dwieście stron, wypełnionych dwukolumnowym rejestrem pozwala bez trudu odnaleźć pożądane pozycje, zwłaszcza, iż autor „Zestawienia" ugrupował materiał według celowo obmyślanych działów, nie szczędząc przy tym t. zw. „odnośników" w wypadkach, gdy dana pozycja przynależy równocześnie do dwóch lub więcej wyszczególnionych grup.

Naturalnie, że wartość takich „Zestawień..." uzależniona jest ściśle od obfitości zestawianego materiału; pod tym względem — cokolwiek by sądzić o „linii" czy o „polityce" Wiad. Literackich" (a najlojalniejszy nawet sąd nie będzie tu pozbawiony ostrych zastrzeżeń) — trzeba jednak przyznać, że roczniki tego pisma stanowią rzeczywiście sui generis encyklopedię zagadnień i wiadomości. Inna już rzecz w jakiej różne sprawy uwzględniano proporcji. O tym pisano już jednak tak wiele i tak rozmaicie, że nie ma tutaj przyczyn tych rzeczy powtarzać. Chociaż... Może właśnie teraz, właśnie w związku z wymienionym „Zestawieniem", trzebaby jeden jeszcze taki bilans uczynić. Ale tym razem nie z punktu widzenia takiej czy innej grupy, ani takich czy innych pretensyj sezonowych, lecz obejmując całość. Jednej zalety trudno byłoby bowiem redakcji „W. L." odmówić nawet przeciwnikom ich „linii". Mam na myśli, cierpliwość, umiejętność odczekiwania. To też oceniać „Wiadomości Literackie" można tylko na podstawie kompletów, a nie izolowanych od reszty numerów; w tym zaś celu omawiane „Zestawienie" może oddać usługi bezsprzecznie duże.

M. Boruchowicz.

ODWOŁANIE

W czerwcowym nr. „N. W." w artykule p.t. „Kilka uwag o równoczesności" zaczepiłem mimochodem a lekkomyślnie Nową Pisownię pomawiając Ją, że w jednym zdaniu uniemożliwiła mi jakoby niedwuznaczne sformułowanie myśli. Spostrzegłszy jednak poniewczasie, iż owa dwuznaczność była tylko pozorna, pragnę teraz wyrazić moje ubolewanie, przeprosić Nową Pisownię oraz uspokoić Ją, że z braku kompetencji wogóle żadnego krytycznego w stosunku do Niej stanowiska obierać nie zamierzam.

M. Chmielowiec

Uczucie suchości w ustach rano

któż tego nie zna — a jak łatwo temu zapobiec! Użyjcie choć raz natychmiast po przebudzeniu się pasty do zębów Chlorodont. Chlorodont nie tylko czyści i odświeża, ale dzięki zawartości soli tlenowych pobudza gruczoły ślinowe do wzmożonej działalności, przez co powoduje naturalne czyszczenie jamy ustnej. Pamiętajcie więc zawsze:

Rano, jako pierwsze, wieczorem, jako ostatnie

Chlorodont pasta do zębów

KAWIARNIA
DANCING
BAR
„CASANOWA"
KRAKÓW, FLORIAŃSKA 32

Państwowe
Wydawnictwo Książek Szkolnych
we LWOWIE ul. Kurkowa 21/23

poleca następujące wydawnictwa

S. Adamczewski:	Stefan Żeromski	zł. 2.30
A. Bar:	Teatr Krakowski pod dyrekcją Koźmiana	„ 2.—
K. Czachowski:	Najnowsza polska twórczość literacka	„ 4.80
K. Czachowski:	Wacław Sieroszewski	„ 2.50
I. Drozdowicz-Jurgielewiczowa:	Warszawa serce Polski	„ 5.—
K. Hartleb:	Kultura Polski od zarania dziejów po dni ostatnie	„ 8.—
A. Górski:	Ku czemu Polska szła	„ 5.—
J. Iwaszkiewicz:	Fryderyk Szopen	„ 2.20
J. Kleiner:	Słowacki Juliusz	„ 6.—
S. Machniewicz:	Estetyka życia codziennego	„ 8.—
S. Papee:	Henryk Sienkiewicz jako humorysta	„ 3.—
H. Radlińska:	Książka wśród ludzi	„ 4.—
S. Szober:	Język a człowiek i naród	„ 4.—
E. Wachnowska:	Żołnierze niepodległości	„ 7.—

Żądać we wszystkich księgarniach.

PIEKARNIA PAROWA
F. WOŹNIAKA
w KRAKOWIE UL. ŚW. TOMASZA L. 5
WYPIEK
WSZELKIEGO RODZAJU PIECZYWA
Chlebów, ciast, sucharków, precelków, keksów, angielskich i herbatników

SKŁAD WARSZAWSKI
PRZYBORÓW FOTOGRAFICZNYCH
I PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA
KRAKÓW, UL. SZEWSKA L. 2.
WYKONYWA
WYWOŁYWANIE, KOPIOWANIE, POWIĘKSZENIA I WSZELKIE ROBOTY FOTOGRAFICZNE
Konto P. K. O. w Krakowie 411.023

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI.

M. Lisiewicz: Trop nad jeziorem, opowieść naroczańska. Ilustrował Zbigniew Pronaszko. Kraków. Księgarnia Powszechna. str. 347.

Irena Szczepańska: Zielono w głowie. Kraków, Księgarnia Powszechna, str. 307.

Tadeusz Żakiej: Płomienie i kołysanki. Lwów 1938. Nakładem Lwowa Literackiego, str. 47.

Jan Śpiewak: Wiersze stepowe. Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1938. str. 39.

Stanisław Skoneczny: Ziemia była szeroka. Warszawa 1939. Nakładem Księgarni F. Hoesicka. str. 21.

Władysław J. Dobrowolski: Jastrzębia boleść, powieść mazowiecka. Kraków 1938. Księgarnia Nauka i Sztuka. str. 47.

Stefan Flukowski: Odys u Feaków, sztuka w 3-ch aktach. Biblioteka Ateneum Nr 4. Warszawa. Skład Główny: Towarzystwo wydawnicze J. Mortkowicza. str. 65.

Jerzy Ronard Bujański: Z warsztatu reżysera. Z cyklu „Autor aktor i reżyser". 1939. str. 84.

Janusz A. Rymsza: Szepty w rzece. Warszawa—Kraków. Gebethner i Wolff. str. 39.

Jan Bolesław Ożóg: Ogier i Makolągwa. Kraków 1939. Biblioteka „Okolicy poetów", tom 10. str. 48.

Stefania Podhorska-Okołów: Kobiety piszą. Warszawa. Nakładem Księgarni F. Hoesicka.

Jalu Kurek: Drzewo Boleści. Kraków 1939. wydanie niesprzedażne.

Józef Stachowski: Jaworowa baśń. Hoesick 1939.

Stefan Flukowski: Urlop bosmanmata Jana Kłębucha. Gebethner i Wolff. 1939.

Władysław Dunarowski: Ludzie z pod miedzy. Ruch 1939.

Franciszek Surówka Brzechowski: Elegje. Nakł. autora. Warszawa 1939.

F-ma Antoni Rothe
Fabryka świec kościelnych
i pierników miodowych
poleca
znane ze swej dobroci wyroby własne
Kraków, ul. Sławkowska 20
Tel. Nr 121-74 Rok zał. 1879

E. CZAPLIŃSKI
Kraków, Szewska 2
SKŁAD PAPIERU
PRZYBORÓW PIŚMIENNYCH

Odlewnia żelaza
i wytwórnia młynków
do minerałów
H. IMMERGLÜCK
KRAKÓW — GRZEGÓRZKI
PASTERSKA L. 18
TELEFON Nr 119-46

JAN RUDEK
- dawniej Szkowron -
Restauracja i pokój
do śniadań oraz handel win i delikatesów
LWÓW, KOPERNIKA 3

FUTRA
GOTOWE i NA ZAMÓWIENIA
poleca
A. JACHIMSKI
Kraków, Grodzka 14 - 16

Każdy palacz papierosów powinien wiedzieć



że dobra bibuła podwyższa smak i aromat tytoniu,
że zdrowotna gilza (zwijka) wchłania nikotynę i filtruje dym tytoniowy
że gilza wykonana na automatach daje pełną rękojmię higieny.
że cienka i delikatna bibułka ułatwia ciąg papierosa.
że te wszystkie zadania spełniają gilzy i bibułki
MOKKA-ALTESSE

SKŁAD FARB
JAN MIGDAŁ
KRAKÓW, Pl. SZCZEPAŃSKI 8
TELEFON Nr **131-47**

Magazyn Polski
MOSES GOLDBERGER
KRAKÓW UL. DŁUGA 50

Męskie koszule sportowe
poleca
W. Szajdakowski
Kraków, ul. Szczepańska 11.

FABRYKA KONSERW
Pierwszorzędne konserwy
Zygmunta Ruckera S. A. we Lwowie
Konserwy miesne
Konserwy jarzynowe
Konserwy owocowe
Marmelady jame'y i t. d.

Towarzystwo
„Biblioteka Religijna"
Lwów, ul. Zygmuntowska 4. — Telefon 224-61
Drukarnia — Introligatornia
Księgarnia - Dział liturgiczny
ul. RUTOWSKIEGO 5
Telefon 283-57

SYNTETYCZNE
Wody mineralne
SŁODOWE i LECZNICZE
wytwarza fabryka
„ZDROWIE"
Lwów, ul. Zdrowie 9 tel. 214-72
Prospekty bezpłatnie

Stanisław Józef SZYC
Lwów, ul. Sykstuska L. 19

SYNDYKAT SPÓŁDZIELNI ROLNICZYCH
CENTRALA HANDLOWA ORGANIZACJI ROLNICZYCH
Centrala: Kraków, pl. Szczepański 6, telefony 104-23, 138-40, 116-10.
Oddział: Lwów, ul. Kraszewskiego 1, telefony: 200-60 i 200-90,
Oddział: Katowice, ul. Dyrekcyjna 10. telefony: 356-41 i 360-41.
Przedstawicielstwo na okręg C. O. P.-u — Rzeszów.

DOSTARCZA po cenach przystępnych za pośrednictwem Spółdzielni Rolniczo - Handlowych, Składnic Kółek Rolniczych i innych Organizacji Rolniczych oraz bezpośrednio: NASIONA ZIEMIOPŁODY: zboża siewne i aprowizacyjne ziemniaki sadzeniaki, NAWOZY SZTUCZNE: PASZE TREŚCIWE: wagonowo i w mniejszych ilościach i OBJĘTOŚCIOWE. -- MATERIAŁY BUDOWLANE MASZYNY I NARZĘDZIA ROLNICZE - WĘGIEL I KOKS,

Na życzenie służymy cennikami i wyczerpującymi ofertami.

Spółdzielniom i Organizacjom Rolniczym udzielamy wysokie rabaty.
Przeprowadzając dostawy zbóż dla wojska oraz eksportując za granicę.
ZAKUPUJE w każdej ilości zboża i wszelkie płody rolne, płacąc najwyższe ceny wedle notowań giełdowych.
Własne nowoczesne czyszczalnie nasion.

WYDAWNICTWO
ZAKŁADU NARODOWEGO Im. OSSOLIŃSKICH
we Lwowie, ul. Ossolińskich 11, telefon 238-59
Oddziały:
W Warszawie, ul. Nowy Świat 72, tel. 598-81
W Krakowie, ul. Podwale 5, tel. 135-27
poleca:
Dzieła naukowe i beletrystyczne
Podręczniki dla szkół powszechnych, średnich ogólnokształcących i zawodowych
dostosowane do najnowszego programu nauczania
wydaje:
BIBIOTEKĘ NARODOWĄ
w której ukazują się w dwu seriach w popularnej formie arcydzieła i bardziej znamienne utwory tak polskie jak i obce
Teksty źródłowe
do nauki historii w szkole średniej i liceum
ma stale na składzie
DRUKI dla Wydziałów Powiatowych, Magistratów, Gmin, Urzędów parafialnych, Notariatów — dla lekarzy oraz druki gospodarcze i lasowe.
posiada
dwie wzorowo urządzone drukarnie i introligatornię,
które wykonują wszelkie w ich zakres wchodzące roboty.
WYDAWNICTWA
ZAKŁADU NARODOWEGO Im. OSSOLIŃSKICH
do nabycia we wszystkich księgarniach.

Redaguje młodzież akademicka
Redakcja i Administracja: **KRAKÓW, JANOWA WOLA 9, I. p.** Telefon Nr. 225-44.
Redaktor i wydawca: Bodnicki Władysław.
Drukarnia „Secesja", Kraków, Kopernika 32.